

Józefa Janusza /nazwisko/ zamieszkałego we Wrocławiu, ul. Podwale 35/3



Zostałem wywieziony dnia 10 lutego 1940 roku ze wsi Iławce, pow. Trembowla, woj. tarnopolskiego. Zostałem wywieziony wraz z rodziną składającą się z matki, siostry Klementyny, Marii, braci Adama i Romana. Ojca nie było z nami. Nie wrócił na razie z wojny. Przebywał w niemieckim obozie jenieckim. Zawieźli nas do archangielskiej obłasti, republiki Komi. Tam umieścili nas w barakach, w lesie. Matka pracowała przy wyrębie lasu. Mnie i brata Romana zabrali do domu dziecka do wsi Spass Poruba nad rzeką Uzą. Miałem wtedy siedem lat. Umieścili nas w baraku, oddzielnie chłopców, oddzielnie dziewczynki. Było nas dwunastu chłopców w sali. Łóżka stały obok siebie jak w szpitalu. Pobudka była chyba o godzinie siódmej. Potem mieliśmy śniadanie. Początkowo wyżywienie było dobre ale po wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej bardzo popsuło się. Potem panował głód. W pierwszym okresie mieliśmy chleba pod dostatkiem, ~~tak~~ że nie zjedzony chleb wkładaliśmy do szuflad. Później w głodnych czasach zjedliśmy ten suchy chleb do okruszynki. Latem chodziliśmy do lasu po grzyby, po jagody, przygotowywaliśmy drewno na opał na zimę. Czasami na śniadanie nie było co jeść. Wtedy jedliśmy grzyby kiszzone w beczce na rosyjski sposób. Mieliśmy po trzy posiłki. W sierocińcu początkowo były wyłącznie polskie dzieci, potem przyjmowali także Rosjan. Wychowawcy u chłopców byli wyłącznie rosyjscy, natomiast dziewczęta miały dwie wychowawczynie Polki. Mieliśmy zajęcia w szkole oddalone o pół km. Naukę zacząłem od pierwszej klasy. Potem skończyłem drugą i trzecią klasę. Przedtem byłem za młody by chodzić do polskiej szkoły. Teraz chciałem nauczyć się pisać i czytać po polsku. Były z tym trudności bo moi rówieśnicy też nie umieli. Nauczyli mnie starsi koledzy, którzy w Polsce liznęli trochę nauki polskiego. Poznałem kilka liter polskich. Pisząc po polsku stawiałem rosyjskie litery przeważnie, chyba że znałem polski odpowiednik. W tym domu dziecka było ze trzysta dzieci. Po wybuchu wojny chleba mało dawali, zupa przeważnie była z kapusty bez innych dodatków. Często dzieci starsze odbierały jedzenia młodszym. Te czasami pluły do swego talerza by obronić jedzenie przed innymi dziećmi. Potrawy zjadaliśmy łapczywie. Na kolację dawali niewiele. Jedną kromkę chleba. Głód coraz bardziej doskwierał. Moja matka zmarła w 1942 roku. Nie tylko, że nie puścili mnie na pogrzeb ale nawet nie zawiadomili o tym. Wcześniej jeszcze w 1940 roku zmarł mój brat Roman, z którym byłem w domu dziecka. Ja natomiast przez rok, z przerwami przechorowałem się w szpitalu. Starłem się symulować zdrowie, żeby nie leżeć w szpitalu. Gdy dawali mi termometr to odkładałem go na tyle wcześniej by nie wskazywał wysokiej temperatury.

Nie wiem na co chorowałem. Miałem wysoką temperaturę. Potem już nie miałem nikogo obcego. Dawali mi jakieś tabletki, czasami zas-
trzyki. Nie wiem co to była za choroba. Bardzo dużo dzieci umie-
rało. W ciągu roku umierało do 30 dzieci. Chowali je w zagajniku.
Miejsce pochówku oznaczali tabliczką ze sklejki na kijku. Kijek
wtykali do ziemi. Nie stawiali żadnych krzyży. Po pewnym czasie
tabliczka z nazwiskiem znikąca. Po pewnym czasie poszedłem na grób
brata. Nie mogłem znaleźć go, wszystko było zrównane. Ślady gro-
bów były zatarte. Po lekcjach, zimą chodziliśmy na wieś pomagać
ludziom w pracy. Pozostali tam wyłącznie starzy ludzie. Młodzi
zostali zabrani do wojska. Pomagaliśmy w miarę możliwości w pracach
domowych za co często, ale nie zawsze dawali nam coś do jedzenia.
W szkole polecali nam pomagać starszym. Czasami gdy temperatura
spadała poniżej 30 stopni w szkole nie było lekcji. Jesienią zbie-
raliśmy zmarznięte ziemniaki pozostałe w ziemi i jedliśmy je na
surowo. Najpierw wycieraliśmy je z grubsza z błota. Miały słodkawy
smak. Podczas wakacji zatrudniali nas przy pracach polowych np.
przy rwaniu grochu. Wtedy każdy chciał jak najwięcej najeść się
bo nie wolno było zabierać ze sobą. Dzieci często chorowały, wzdy-
mało je. Gdy śnieg przykrył pola to zatrudniali nas przy kopaniu
ziemniaków. Wtedy piekliśmy i jedliśmy. Najgorzej było na przednów-
ku bo nie było co jeść. Czasami udało się wygrzebać jakieś korzon-
ki i pożywić. Jedliśmy też trzcinę, która rosła na moczarach.
W domu dziecka było bardzo zimno. Ciepłota nie mogła przekraczać
14 stopni, przeważnie było 10 stopni. Mimo, że wokół były lasy
to nie było komu przygotować i przywieźć drewna na opał. Dzieci
przeważnie były za małe by mogły wykonywać takie prace. Przy tych
niskich temperaturach należałoby przez cały czas palić a to nie
było możliwe z braku opału. Mieszkaliśmy w drewnianym baraku wyko-
nanym z bali drewnianych nieuszczelnionych, ze szparami zat-
kanymi mchem. Na korytarzu było koryto z wodą, która zimą zamarza-
ła. Myliśmy się w tej wodzie. Pranie zdarzało się bardzo rzadko.
Czasami zwłaszcza latem chodziliśmy do łaźni. Była to drewniana
budka, t.zw. ruska bania, w której na rozgrzany kamień wylewało się
wodę by uzyskać w ten sposób parę. W tej bani było potwornie zimno.
Każdy miał swoje łóżeczko z siennikiem słomianym, poduszką słomianą
i jednym kocem do przykrycia. Było zimno spać. Wbrew pozorom nie
czuliśmy zimna, byliśmy zahartowani. Podczas dużych mrozów chodzi-
liśmy na narty w marynarkach, nie było nam zimno. W tych stronach
mieszkali przeważnie Rosjanie. Było w tej wsi kino czy klub, w któ-
rym parę razy dawali występy. Kiedyś wracając z klubu zabłądziliśmy
i późno przyszedliśmy do domu.

Wychowawcy nie pozwalali modlić się. Podglądali nas wieczorami i gdy
przyłapali na modlitwie lub klęczeniu to zamykali na parę dób do

pomieszczenia w sąsiednim budynku i straszili. Po takim areszcie dziecko było bardzo wystraszone. Później modlili się przykryci kocem. W pobliżu była duża cerkiew, którą właśnie rozbierali. Częściowo była jeszcze zdatna do użytku. My w baraku spaliśmy sami. Początkowo spała tu dozorczyń Polka, potem nie było nikogo. Kiedyś duża banda rabusiów przysłała z lasu, zajęła jeden pokój, spali tam. Grozili nożami gdybyśmy donieśli na milicję. Trwało to ze dwa tygodnie. ~~Początkowo dyrektor~~ Jeden wychowawca bardzo bił dzieci. Pewnego razu jeden chłopak rzucił czymś za samochodem. Ten wychowawca tak mocno zbił go pasem ze sprzączką, że chłopak zmarł po trzech dniach. Między sobą rozmawialiśmy po polsku. W domu dziecka nie zabraniali. Starali się rusyfikować w inny sposób. Moje nazwisko zmienili na Januszew. W szkole nie wolno było rozmawiać po polsku, tylko po rosyjsku. Inny chłopak narwał dużo kołchozowej cebuli to naczalnik za karę kazał mu ją wszystką zjeść. Nie wolno było nosić medalików. W łaźni naczalnik zrywał medaliki i rzucał do ognia. Jednego chłopaka omal nie udusił, tak mocno ciągnął sznurek na którym był medalik. Chłopak był prawie nieprzytomny. Wychowawcy chodzili pod okna i wypatrywali czy ktoś nie modli się. Potem chowali się za rogiem i znieścacka podglądali. Nauczyciele źle mówili o Polsce. Uczyli antypolskiej piosenki. Między nami były dzieci ukraińskie, które raczej solidaryzowały się z nami.

Nie miałem żadnych kontaktów z matką. Rodzeństwo było rozczłonkowane po różnych domach dziecka. W 1943 roku przyjechałem do Syktywkara bo w domu dziecka był straszyny głód. Wprawdzie wiedziałem, że matka nie żyje ale nie wierzyłem w to. Nie żyła już od 1942 roku. Przyjechałem okazyjnie, gdy traktor wiozł samochody do naprawy. Droga była bardzo trudna, duży śnieg, trzeba było nijednokrotnie ścinać drzewa by je podłożyć pod koła. Jechaliśmy te 200 km przez trzy dni. Na miejscu była tylko najstarsza siostra. Zamieszkaliśmy u ciotki. Siostra pracowała na czarno, ze względu na młody wiek nie mogła inaczej. Otrzymywała za tę pracę trochę jedzenia. Miałem ze sobą krótkie spodenki, które otrzymałem jako nagrodę za dobre wyniki w nauce. Sprzedałem je za 400 g chleba. Podzieliłem ten chleb na dwie połowy dla siostry i dla siebie, ale że byłem bardzo głody to po kawałeczku zjadłem cały kawałek. Miałem potem wyrzuty sumienia z tego powodu. Potem zabrali mnie do innego domu dziecka w Syktywkarze. Wcześniej poszliśmy do UNRR-y, gdzie otrzymaliśmy trochę żywności. We wsi Wilgord oddalonej o 7 km był polski dom dziecka. Zarówno dzieci jak też dyrektorka pani Dąbkowska byli polscy. Jedzenie było nie dużo lepsze niż w poprzednim ale dawali je regularnie. W tym domu dziecka spotkałem się ze swoim bratem Adamem, który tam przebywał. W tym domu dziecka byłem z rok. Potem zabrali stamtąd około trzydzieścioro dzieci w tej liczbie i mnie przewieźli rzekami do Kotłasa a potem

pociągiem pojechaliśmy najpierw do Zagorska oddalonego o 300 km od Moskwy. Był tam polski dom dziecka prowadzony przez ZPP. Tam miałem pierwszą wigilię od czasu wywózki. Było to w 1944 roku. Dzieci były bardzo wzruszone podczas wieczerzy wigilijnej, płakały. W tym domu dziecka było lepiej, wyżywienie było obfitsze. Krótko tam byłem. Po paru tygodniach pojechałem do innego domu dziecka do Czkałowska. Przenosili tam młodszego brata. Nie chciałem rozstać się z nim wobec czego mnie też wysłano z nim. Do Czkałowska przyjechaliśmy 6 stycznia 1945 roku. W tym domu dziecka jedzenie było lepsze. Był to też polski dom dziecka. Byliśmy tam do marca 1946 roku. Dyrektorem był Żyd pan Miłsztajn. Wychowaczynie były Żydówki i Polaki. W tym domu były dobre warunki życia. Czkałowsk jest niedaleko od Moskwy. Parę razy jeździliśmy do Moskwy na różne imprezy.

W międzyczasie zabrali mnie do wojskowej orkiestry polskiej jednostki wojskowej stacjonującej w Riazaniu. Była tam szkoła oficerska, w której prawdopodobnie wówczas uczył się pan Jaruzelski. Dowódcą szkoły był generał brygady, który nosił szablę. Był to Polak, natomiast inni wyżsi oficerowie byli to przeważnie Rosjanie lub zruszczeni Polacy potomkowie zesłańców. Niektórzy mówili łamaną polszczyzną. W podchorążówce był nawet kapelan i odprawiał nabożeństwa.

W marcu 1946 roku załadowali nas do wagonu osobowego pośpiesznego pociągu i powieźli do Polski. Podróż trwała bardzo krótko bo tylko trzy dni. Była duża obfitość jedzenia, jak nigdy przedtem. Ponieważ rosyjska obsługa pociągu i rosyjska higienistka, która jechała z nami miała bardzo mało jedzenia to nosiliśmy im coś z naszego jedzenia. Kiedyś nasz dyrektor zauważył to i bardzo skrzyczał higienistkę że przyjmuje żywność. Dyrektor bardzo dbał o dzieci. Po powrocie do kraju zabrali go do Warszawy na jakieś wysokie stanowisko. Dostaliśmy po dwa ubrania, zimowe i letnie, buty, bieliznę. Ubrania wprawdzie były za duże ale ~~z~~ dobre i to. Byliśmy bardzo obdarci bo odzieży dotąd nam prawie nie dawali. Tylko w domu dziecka w Spass Porubie dali ciepły płaszcz na zimę, także walonki. Potem pożyczylimi jakieś walonki ale z powodu zamieszania nie odebrali dzięki czemu miałem w czym chodzić.

Przedtem jeszcze przechorowałem się na oczy. Leżałem w szpitalu. Przejechał mnie samochód i na skutek tego doznałem zaniku nerwu wzrokowego. Miałem gorączkę. Lekarze najwyraźniej nie wiedzieli przez dłuższy czas co mi jest. Powyrywali mi zęby oczne, dawali jakieś krople do oczu po których świat widziałem na czerwono, piekło. Z naszej rodziny liczącej w dniu wywiezienia siedem osób zmarła matka i brat Roman. Wrócili siostry Maria, która teraz mieszka w Tarnowie, Krystyna także w Tarnowie, Adam na Dolnym Śląsku.
Zarejestrował i przepisał Edward Kruk